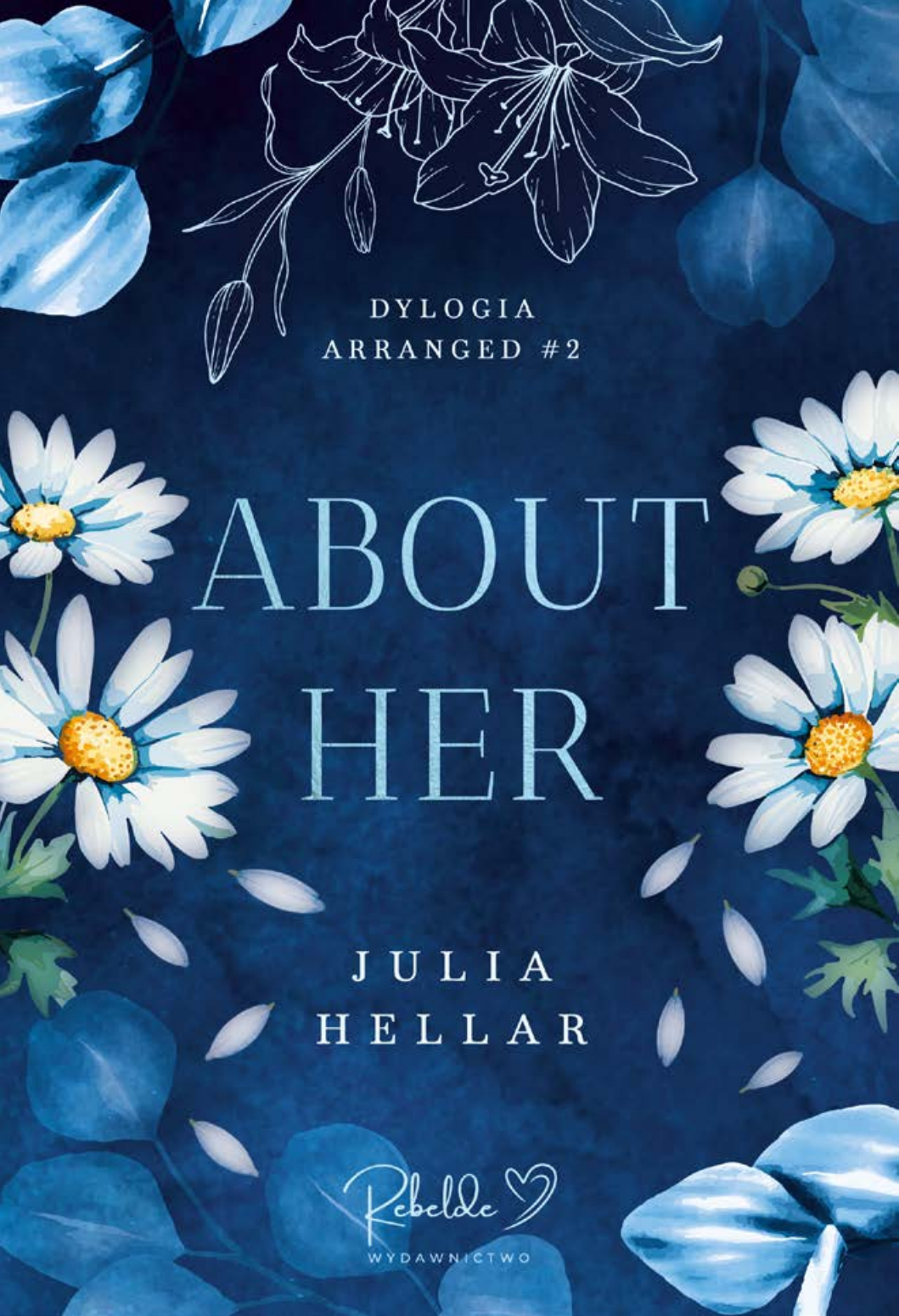




DYLOGIA
ARRANGED #2

ABOUT HER

JULIA
HELLAR

Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Julia Hellar
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

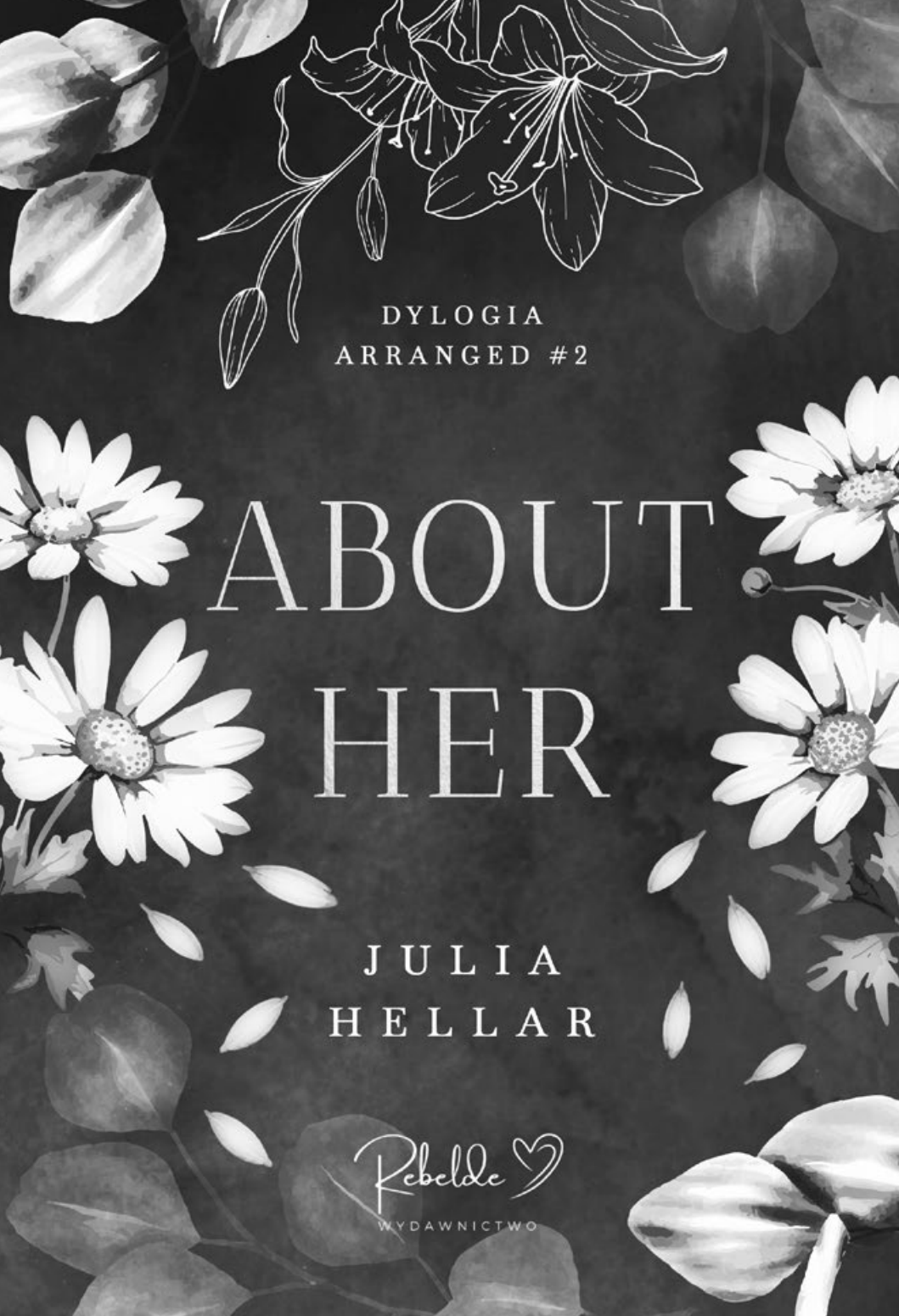
Projekt okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Skład:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68916-25-6


WYDAWNICTWO



DYLOGIA
ARRANGED #2

ABOUT HER

JULIA
HELLAR

Rebelle ♥
WYDAWNICTWO



Rodzicom.

*Bo dzięki Wam mam odwagę, by działać,
i siłę, by podnieść się po upadku.*

To Wy pokazaliście mi, czym jest prawdziwa rodzina.



Od autorki

Ze względu na poruszane treści *About Her* jest książką przeznaczoną dla dorosłych czytelników. Znajdziecie w niej opisy scen zbliżeń, wulgaryzmy, wspomnienie przemocy seksualnej i przemocy domowej, a także toksyczny i bulwersujący sposób radzenia sobie z nieuleczoną traumą.

Podczas czytania tej książki pamiętajcie, że narracja pierwszoosobowa zaprasza Was do zapoznania się ze światem tak, jak widzi go bohater. Z myślami i emocjami wynikającymi z jego prywatnych doświadczeń. Możecie się z nimi nie zgadzać i uważać je za nieadekwatne lub irracjonalne, ale nie zapominajcie, że wynikają z jego osobistych przeżyć.

Nie pochwalam niektórych wyborów i zachowań prezentowanych przez głównych bohaterów. Mam szczerą nadzieję, że w prawdziwym życiu historie takie jak ta należą do mniejszości.

W tej części pojawia się opis psychoterapii. Wspomniane metody i narzędzia opierają się na prawdziwych teoriach psychologicznych, ale wytłumaczone zostały w sposób uproszczony. Nie miejcie mi więc, proszę, za złe, jeśli uznacie, że wszystko dzieje się za szybko. Tak w istocie jest, ale to zabieg celowy – po to, by ta książka mogła zamknąć się w rozsądnej liczbie stron. :)

Droży Czytelnicy! Mam szczerą nadzieję, że historie opisane na kartkach tej powieści nie stanowią Waszej codzienności. Że poruszone problemy są Wam obce i nie znacie nikogo, kto zmaga się z podobnymi. Jeśli jednak jest inaczej – proszę Was z całego serca, nie wahajcie się sięgać po pomoc! Są ludzie i instytucje, gdzie z pewnością zostanie Wam ona

udzielona. A jeśli jesteście świadkami – reagujcie! Czasami nawet drobny gest może uratować komuś życie.

Sięgnijcie po tę książkę świadomie. Jeżeli przytoczone przeze mnie kwestie nie budzą w Was dyskomfortu... bawcie się dobrze! Niech zakończenie historii Olivii i Matta będzie dla Was wspaniałą rozrywką i odskocznią od tu i teraz.



Prolog

Simon Hamilton

16 LAT WCZEŚNIEJ

Nienawidziłem Los Angeles. Miasto Aniołów. Gówno prawda. To miasto kurzu przylepiającego się do spoconego ciała, bo niezależnie od tego, ile kosztowałby mój garnitur, nie ma na świecie materiału, który uchroniłby mnie przed tym cholernym sierpniowym skwarem.

Nienawidziłem upałów. Dlatego wybrałem Nowy Jork, gdzie słońce dopieka tylko przez kilka tygodni w roku, podczas których zawsze można uciec do Hamptons, gdy człowiek ma już dość klimatyzowanych biurowców. Poza sezonem letnim temperatura na zewnątrz pozwala na funkcjonowanie bez obaw, że uściśnięcie komuś ręki będzie przykrym doświadczeniem.

Przekroczyłem próg domu Richarda Bransona, mojego dobrego przyjaciela, i od razu poczułem zapach lilii. Jego żona Evelyn miała na ich punkcie obsesję, dlatego kupował te kwiaty tonami. Zawsze białe i zawsze pozbawione dodatków w bukietach. Lekka muzyka płynęła od strony kwartetu smyczkowego ustawionego na niewielkim podwyższeniu w salonie, który na tę okazję zamieniono w coś na wzór sali balowej.

Takich imprez również nienawidziłem. Nadętych, sztywnych, gdzie kobiety mają talie tak ciasno ściśnięte gorsetami, że ledwie mogą oddychać, a mężczyźni pocą się w trzyczęderowych garniturach – patrz punkt drugi. Czasami jednak nie było wyboru. Bankiety stanowiły świetną okazję do nawiązania nowych kontaktów i dopięcia umów. Tu nikt nie przychodził

dla zabawy. To biznes i konkurowanie o zasobność portfeli. Z tym ostatnim – na moje szczęście – mało kto mógł stawać ze mną w szranki.

– Simon Hamilton – dobiegł mnie miękki i melodyjny głos. Uśmiechnąłem się pod nosem i odwróciłem w stronę zaczepiającej mnie kobiety.

– Alison – rzuciłem, specjalnie obniżając ton. Wyciągnąłem w jej stronę dłoń, zachęcając, by się przywitała, a ona przywarła do mnie całym ciałem. – Musisz koniecznie dać mi przepis na swój eliksir młodości.

Zachichotała i pocałowała powietrze obok mojego prawego ucha. Odśunąłem ją na odległość wyciągniętych rąk. Żona kongresmena zdecydowanie zbyt często próbowała skrócić między nami dystans, co niekiedy bywało bardzo uciążliwe. Nie byłbym na swojej pozycji, gdybym pozwolił sobie na romansowanie z partnerkami moich kontrahentów. Wielu przede mną popełniło ten błąd i wielu skończyło marnie. A zwłaszcza, gdy w grę wchodzi politycy. Ich trzeba mieć po swojej stronie niezależnie od tego, jakie poglądy głoszą. Nauczyłem się już, że wszystko da się powiedzieć tak, by rozmówca był przekonany, że jesteśmy wierni tym samym wartościom.

– Nie widziałś może gospodarza? – zapytałem, rozglądając się dookoła. Tego dnia biznes nie był jedynym powodem mojej wizyty.

– Już chcesz się mnie pozbyć? – zaczęła Alison, udając urażoną.

Stłumiłem chęć przewrócenia oczami.

– Nie jestem samolubny, nie chcę trzymać gwiazdy wieczoru tylko dla siebie – mruknąłem, uwodzicielsko unosząc kącik ust.

Kobieta spojrzała na mnie spod wachlarza sztucznych rzęs i już chciała coś powiedzieć, gdy ubiegł ją dziecięcy głos:

– Wujku Simonie!

Zignorowałem żonę kongresmena, bo oto z potężnych spiralnych schodów zbiegał właśnie Noah Branson. Trzynastoletni wyrostek, mój ulubiony dzieciak, który zdecydowanie powinien zostać tego wieczoru w swoim pokoju.

– Twoja mama wie, że jeszcze nie jesteś w łóżku? – zapytałem, mierzwiąc mu ciemną czuprynę. Uświadomiłem sobie, że jeszcze trochę i będę musiał sięgać w górę, by to zrobić. Chłopak rósł, jakby dosypywali mu sterydów do płatków śniadaniowych.

– Tata dzwonił i prosił, żebym skierował cię do biblioteki – powiedział. – Musiał na chwilę wyjść, ale już jedzie. Tam się z tobą spotka.

Wzniosłem oczy na sufit. Oczywiście, że Richard nie był obecny na własnym przyjęciu.

– A potem możesz przyjść do mojego pokoju. Pokażę ci nowe pu-chary. – Wypiął dumnie pierś, przez co miałem wrażenie, że wzbogacił się o jakieś trzy centymetry wzrostu. Wykapany ojciec. Lubił się chwalić swoimi trofeami.

– Pewnie, że przyjdę – rzuciłem i poklepałem go po ramieniu. – Ale teraz zmykaj do sypialni, bo piżama chyba nie wpisuje się w dzisiejszy dress code.

Noah obrzucił wzrokiem swój strój oraz bose stopy i spłonął rumieńcem. Posłałem mu jeszcze pokrępiący uśmiech, a po chwili ogłądałem jego plecy, gdy wspinał się po schodach.

Biblioteka Bransonów była miejscem wyjątkowym. Evelyn miała doktorat z literatury angielskiej, a jej mąż – gnębiony przez wyrzuty sumienia spowodowane kolejnymi romansami – sprowadzał dla niej prawdziwe białe kruki. Można tam było znaleźć dosłownie wszystko. Regały w ogromnym pomieszczeniu sięgały tak wysoko, że zainstalowano drabinę na szynach.

Zamknąłem za sobą drzwi i podszedłem do barku. Miałem coraz gorsze przeczucia dotyczące tajemniczej sprawy przyjaciela i uznałem, że whisky będzie idealnym sposobem na walkę z instynktem. Bo po co stresować się na zapas?

Nie zdążyłem nawet sięgnąć po szklankę, gdy usłyszałem za plecami szmer. Odwróciłem się na pięcie i zamarłem. Moje czoło nagle zrosił pot, oddech momentalnie przyspieszył, a przed oczami pociemniało.

Nie.

Przecież to niemożliwe.

To nie może...

– Przepraszam, nie chciałam panu przeszkodzić – powiedziała wyraźnie spanikowana dziewczyna, próbując zasłonić twarz przydługą grzywką. – Bardzo proszę, by nie mówił pan Richar... to znaczy panu Bransonowi, że tu jestem. Obiecałam, że wyjdę, zanim przyjedzie catering, ale zaczytałam

się, a potem usnęłam. – Wskazała delikatną dłońią na wygodny fotel w rogu pomieszczenia. – Poczekam na koniec przyjęcia i wymknę się wraz z obsługą.

Patrzyłem na jej uroczą, zdecydowanie zbyt młodą twarz. Na duże, ciemne oczy, gdy w zawstydzeniu wpatrywała się w podłogę. Na błyszczące włosy w tak niespotykanym kolorze, że trudno go było nawet określić. Rude? Nie, to nie to. Ale też nie brązowe. Coś pomiędzy.

Stała skulona. Przygarbione ramiona, spuszczone głowa. Trzymała się za łokcie, a kolana lekko ugięła, jakby w gotowości do naglej ucieczki. Miała na sobie rzeczy wyglądające na drogie, ale w jakiś sposób zupełnie to do niej nie pasowało.

Dobry Boże, co to dziecko musiało przejść w swoim życiu? Różnica między zachowaniem jej a Noaha aż biła po oczach.

I ta twarz... *Przecież...*

– Proszę pana? – Głos wyraźnie jej zadrżał.

Musiałem się otrząsnąć. *Tu nic nie pasuje, to nie mogło się wydarzyć.* Odchrząknąłem.

– O nic się nie martw – poprosiłem. – Oczywiście, że cię nie wydam.

Ulgą dziewczyny była wyraźna. Podniosła wzrok, w jej oczach pojawiła się nadzieja i wdzięczność. Wyprostowała plecy, a usta wykrzywiły w nikłym uśmiechu. Musiałem się dowiedzieć, kim ona jest, ale za żadne skarby świata nie chciałem jej spłoszyć.

– Jestem Simon – powiedziałem, wyciągając rękę w jej stronę. Spojrzała na nią z niepewnością, ale ostatecznie ją uściśnięła. – A ty jak się nazywasz?

Zawahała się, jakby nie wiedząc, czy może mi zdradzić swoje nazwisko. *Czyżbym znał jej rodziców?* Skoro znajdowała się w domu Richarda, to było bardzo możliwe. Ale jej zachowanie nie pasowało do żadnego z rozpieszczonych dzieciaków bogatych starych.

– Olivia. Nazywam się Olivia Geller.



Rozdział 1

Olivia Hamilton

Patrzyłam, jak Matthew poprawia ciasno zawiązany przy szyi ciemnozielony krawat i westchnęłam cicho. *Przecież on ich nienawidzi.* Nie widziałam sensu w tym, by zakładał je pod publikę. Z drugiej strony – kiedyś wszystko robiliśmy tylko pod publikę i wtedy mi to nie przeszkadzało. Poza tym ja też ciągle chodziłam w ubraniach, które nie należały do najwygodniejszych, ale dobrze prezentowały się w sądzie.

Hipokrytka.

Jednak ten kawałek materiału naprawdę musiał mu przeszkadzać, bo ciągle się z nim mocował, nawet gdy Trevor zaczął rzucać kąśliwe spojrzenia. Wiedziałam, co oznaczają.

„Przynosisz mi wstyd, synu”.

Po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, że ten konkretny krawat to świetny wybór. Podbijał zieleni pozbawionych blasku tęczyówek. Ogólnie Matt nie wyglądał zdrowo. Poszarzała cera, cienie pod oczami, niedbale ułożone włosy, zarost i zgarbiona sylwetka. To nie był Matthew Sullivan, którego tak dobrze zdążyłam poznać. Nie mogłam się jednak dziwić. W końcu jego matka dalej leżała w szpitalu, a on był właśnie na wiecu wyborczym, by wyrazić poparcie dla tyrana, który jej ten los zgotował. Moje ciało wyrywało się, by go przytulić i przynieść ukojenie.

Patrick zakończył wstęp zapowiadający kolejność wystąpień i usiadł w drugim rzędzie, tuż za Trevorem. Pewnie po to, by móc szeptać mu na ucho ostatnie wskazówki. Obserwowałam, jak Matt wstaje ze swojego

miejsca i podchodzi powolnym krokiem do mównicy, a w moim sercu przelewała się tęsknota.

– Wbrew temu, co moglibyście przypuszczać, nie zamierzam namawiać was do oddania głosu na mojego ojca – zaczął spokojnie, a ja przeniosłam zaskoczone spojrzenie na Trevora. Jego twarz promieniała dumą. Wszystko można mu było zarzucić, ale nie to, że nie ma talentu aktorskiego. – Zamiast tego poproszę was o coś znacznie ważniejszego: żebyście zagłosowali zgodnie z własnym sumieniem. Odłóżcie na chwilę chłodne kalkulacje, przestańcie słuchać szumu medialnego i zastanówcie się, komu naprawdę ufacie. Kto okaże wam troskę, kto nie zawiedzie, kto zatroszczy się o wasze potrzeby. Nie tylko w obietnicach wyborczych, ale też wtedy, gdy kampania już się skończy. Zamknijcie oczy i pomyślcie o tych, którzy są waszym światem. O tych, dla których chcecie lepszej przyszłości. Bo wasz głos to coś więcej niż polityczny wybór. To decyzja o ich bezpieczeństwie, szansach i codzienności. – Zamilkł na chwilę. – Kiedy ja myślę o mojej narzeczonej – kontynuował, a moje serce zamarło – chcę dla niej państwa, które nie tylko ją ochroni, ale da jej przestrzeń do rozwoju. Gdzie będzie mogła świadomie budować swoją karierę, spełniać marzenia, pielegnować pasje i mieć poczucie, że jej głos się liczy. To ona jest moim światem. I to z myślą o niej zagłosuję na tego, kto najlepiej zadba o codzienność, w której będzie mogła być po prostu szczęśliwa. A o całą resztę... zadbam ja – rzucił na koniec, a w tłumie rozbrzmiał delikatny śmiech.

Patrzyłam na jego piękną twarz, a do oczu napłynęły mi łzy. Skrzywiłam się. Myślałam, że wylałam już wszystkie. *Przecież jeśli znowu zacznę płakać, pozbędę się całej wody z organizmu i pomarszczę jak suszona śliwka.*

– Co oglądasz? – dobiegł mnie niski głos zza ściany.

Zasłoniłam twarz włosami, by mężczyzna nie był świadkiem wybuchu żalu. W ciągu ostatnich dni widział ich już wiele i obstawiałam, że nabawił się zakwasów w ramionach, bo ciągle mnie obejmował i głaskał po głowie, gdy śliniłam się i moczyłam mu łzami kolejne koszule.

Chłop na medal.

Szkoda, że dopiero teraz.

Złapałam pilota i wyłączyłam telewizor. Przystojne oblicze mojego narzeczonego zniknęło, a do mnie ponownie dotarła rzeczywistość.

Jestem w ciemnej dupie.

– Nic konkretnego. – Poprawiłam rękawy przydługiej męskiej bluzy. Nie miałam tu zbyt wielu swoich rzeczy i musiałam posiłkować się tym, co znalazłam w szafie.

Robert w końcu wszedł do pokoju i zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem. Robił tak codziennie od trzech dni, czyli od momentu, w którym mój świat się zawalił. Poza tym kontrolował, czy jem posiłki, przypominał o myciu zębów, odpisywał na moje maile i pośredniczył w kontakcie z *nim*.

Z mężczyzną, który miał być moją bezpieczną przystanią, a okazało się, że stanowi największe zagrożenie.

Matthew szukał kontaktu, ale nie był nachalny. Dawał mi tak potrzebną w tym momencie przestrzeń. Dystans chroniący mnie przed pochopnymi decyzjami. Codziennie dzwonił do Roberta, by sprawdzić, czy nie złamał mnie tak, jak zrobił to kiedyś jego przyjaciel. Na szczęście odpowiedź za każdym razem była przecząca. Nie czułam się złamana. Owszem, rozpacz zalewała mnie falami. Jak na oceanie. Raz otaczał mnie stoicki spokój, a innym razem szalał huragan. Ale paradoksalnie górowała wdzięczność. Matthew pokazał mi moją siłę. Udowodnił, że potrafię walczyć o siebie. Szukać pomocy.

Postawić moje dobro ponad jego.

– Pogadamy? – zapytał Robert, obdarzając mnie ciepłym, troskliwym uśmiechem.

Usiadł obok i spojrzeniem pełnym politowania zlustrował leżące przede mną papiery. Zapraszająco uniósł ramię, a ja wtuliłam się w jego bok. Znowu coś się zmieniło. Każdego kolejnego dnia odczuwałam tę bliskość inaczej. Na początku rozpaczliwie jej potrzebowałam. Następnie było mi przyjemnie, ale umiałam już metaforycznie stać o własnych siłach. W tym momencie przytuliłam się tylko dlatego, że po wszystkim, co Thompson dla mnie robił, nie chciałam go odrzucić.

Skinęłam niemrawo głową, odpowiadając w ten sposób na zadane przez niego pytanie. Do tej pory rozmawialiśmy w zasadzie o niczym.

Zero konkretów. Matthew stanowił temat tabu – chyba że akurat dzwonił, a Robert w telegraficznym skrócie informował mnie, co u niego.

Panicznie bałam się tego, jak bardzo on teraz siebie nienawidzi. Był dobrym człowiekiem. Bardzo zagubionym, ale dobrym. Wiedziałam, że wyrzuty sumienia gnębią go, ciągną w dół, nie pozwalają normalnie funkcjonować.

– Dlaczego zadzwoniłaś wtedy akurat do mnie? – zapytał Robert, pocierając moje ramię.

Westchnęłam głęboko. Zaczęliśmy z grubej rury.

– Wiedziałam, że przyjedziesz – mruknęłam, odwracając wzrok.

Prychnął zirytowany.

– Simon przyleciałby jebanym helikopterem i zaparkowałby go w Central Parku, by znaleźć się przy tobie jak najszybciej. Ethan złamałby wszystkie przepisy ruchu drogowego, by wyciągnąć cię z tego mieszkania – mówił, a ja schowałam twarz w dłoniach. Oczywiście, że miał rację. Nawet opcja z helikopterem w tym wypadku nie była całkiem absurdalna. – Wiesz, co myślę? – Odsunął moje dłonie od twarzy i pogładził delikatnie po policzku. – Zadzwoniłaś do mnie, bo chciałaś go chronić.

Wciągnęłam powietrze tak głęboko, że aż zapiekło mnie w płucach. Minęło wiele lat, odkąd nasz związek rozpadł się z hukiem – tym emocjonalnym i tym medialnym – a on dalej potrafił przejrzeć mnie na wylot.

– Olivio... – jęknął i byłam przekonana, że przewraca właśnie oczami, ale jak ognia unikałam jego spojrzenia. – Nie masz za grosz instynktu samozachowawczego.

– Potrzebowałam kogoś, kto będzie wiedział, jak mi pomóc, nie przekreślając jego. On nie jest złym człowiekiem, Rob. Wiesz o tym.

Poczułam, jak klatka piersiowa mężczyzny unosi się i opada, gdy wziął głęboki oddech. Wysunął ramię spod moich pleców i skierował całe ciało w moją stronę. Nie mogłam już dłużej wzbraniać się przed popatrzeniem mu w oczy.

– Simon urządziłby mu piekło. Ty mnie zdradziłeś, a pozbawił cię niemal wszystkiego. Wyobrażasz sobie, co zrobiłby jemu? – Puls przyspieszył mi na samą myśl o tym. Doskonale zdawałam sobie sprawę, do

czego zdolny jest mój ojczym, by mnie chronić. – Ethan pewnie pobiegłby na skargę do Simona. I wiem, że kierowałaby nim troska. Ale nawet jeśli jakimś cudem ubłagałabym go, żeby tego nie robił, Matt byłby skreślony. Na zawsze. Nie chcę tego, Robert. Kocham go. Naprawdę go kocham. Pragnę dać mu ukojenie, a nie stać się przyczyną potępienia. Muszę tylko poukładać sobie wszystko w głowie i opracować plan.

– Olivio Hamilton – odparł po dłuższej chwili milczenia. – Masz najbardziej krystaliczną duszę ze wszystkich ludzi na tej zasranej planecie.

Zaśmiałam się ironicznie. Po chwili jednak zbładłam, bo ta rzecz, którą najbardziej od siebie odpychałam przez ostatnie trzy dni, nagle uderzyła we mnie z mocą rakiety.

– Noah jest w mieście – szepnęłam, ledwo poruszając wargami. Fala strachu sparaliżowała moje mięśnie.

Robert zerwał się na równe nogi, łapiąc przy tym oburącz za kark. Na jego twarzy malował się szok w najczystszej postaci. Schował twarz w dłoniach, przemaszerował na drugi koniec pokoju i z powrotem. Ewidentnie nie wiedział, co ze sobą zrobić.

A ja poczułam ulgę. Wreszcie powiedziałam to na głos. Noah gdzieś tu był. Może nawet teraz przechodził obok budynku, w którym mieścił się ten apartament. Może pił kawę w kawiarni po drugiej stronie ulicy albo parkował samochód niedaleko mojej kancelarii. Wychodząc z domu, narażałam się na to, że natknę się na niego za rogiem. Przymknęłam oczy, walcząc ze zbliżającym się atakiem paniki.

Wzięłam głęboki wdech, odliczając w myślach do czterech. Zatrzymałam powietrze w płucach, ponownie licząc, po czym je wypuściłam. *Raz, dwa, trzy, cztery. Pauza. Raz, dwa, trzy, cztery. Wdech. Powtórz.*

Ataki paniki były niegdyś moją codziennością. Po niezliczonych terapiach potrafiłam odpędzić od siebie te mniej dotkliwe. Umiałam pracować z oddechem i własnym ciałem. I tego musiałam nauczyć Matthew.

Jakim cudem moje myśli znowu podążyły w kierunku Sullivana? W momencie, w którym powiedziałam na głos to, przez co dławiałam się własnymi łzami w ciągu poprzednich dni.

Robert podszedł, stracił leżące na stoliku kawowym papiery, usiadł na nim, po czym złapał mnie za rozedrgane z nerwów ręce.

– Jesteś bezpieczna, wiesz o tym, prawda? – Silił się, by jego głos był kojący, ale wyczułam lekkie drżenie. – Masz Simona, masz Ethana, masz Matta... i masz mnie. Jak będzie trzeba, zaczniemy chodzić za tobą na zmianę, krok w krok. Ten człowiek ci nie zaszkodzi, Liv, obiecuję.

Pod powiekami poczułam kolejną falę łez. Tym razem ze wzruszenia. Tak wiele się zmieniło, odkąd widziałam Noaha ostatni raz. Wtedy nie miałam nikogo i nikogo tak naprawdę nie obchodziłam. Teraz byłam otoczona ludźmi, którzy pragnęli mojego dobra.

Pogłaskałam Roberta czułym gestem po policzku. Chyba musieliśmy przejść przez to wszystko, by teraz móc być dla siebie wsparciem bez trudnych emocji.

– A Richard? – zapytał, wwiercając się we mnie spojrzeniem. – On też tu jest?

Powieka drgnęła mi w nerwowym tik.

– Nie wiem. Chyba nie – szepnęłam, odwracając wzrok.

Miałam świadomość, że Thompson mnie nie potępia, że rozumie i to nie we mnie upatruje czarnego charakteru tej bajki. Ale ja dalej, po tych wszystkich latach, nie umiałam spojrzeć mu w oczy bez wstydu, kiedy ten temat znowu wracał na tapetę.

Robert uklęknął przede mną i wziął mnie w ramiona. Wiedział. Był jedynym człowiekiem osobiście niezaangażowanym w tę historię, który o wszystkim wiedział. To on pomógł mi pozbyć się obrzydzenia do siebie, mężczyzn, świata i bliskości. On chodził ze mną na terapię. Trzymał mnie godzinami za rękę, gdy walczyłam z demonami, nie odstępował na krok podczas epizodów depresyjnych. Czekał na mnie tak długo, że każdy inny mężczyzna już dawno by się poddał.

To dobry człowiek. To, co stało się z naszym związkiem, nie mogło przekreślić tego, ile dla mnie zrobił, a ja musiałam w końcu zmierzyć się również z tymi wspomnieniami. W tym momencie były tak realne, jakby

dalej stanowiły moją rzeczywistość. Siedziałam otoczona jego ramionami – dokładnie tak, jak wtedy – a on próbował ukoić moje nerwy.

Nic nie mówił. Nie głaskał mnie, nie ruszył się nawet o milimetr. Trzymał mnie tak, jakby chciał otoczyć żelazną zbroją dającą poczucie bezpieczeństwa. Mieliśmy ten schemat doskonale wyuczony. Zadziałał. Tak jak lata temu.

Robert Thompson znowu stał się moim ukojeniem.



Coś nieustannie smyrało mnie po twarzy. Pokręciłam nosem, mając nadzieję, że to odstraszy uciążliwe „coś”, ale widocznie moje działania nie stanowiły wystarczającej przeszkody. Otworzyłam jedno oko, bo dwa to byłaby przesada, i ze zdziwieniem odkryłam, że dalej leżę na kanapie w salonie Roberta, na ekranie widać napisy końcowe filmu, którego początku nie pamiętam, a Rob chrapie smacznie w fotelu obok.

Gdy moje szare komórki również się obudziły, uświadomiłam sobie, że uciążliwą rzeczą był kosmyk włosów, który opadł mi na twarz. Przeciągnęłam się. Coś strzeliło mi w karku, ale na tym etapie przeobrażania się w kłębek nerwów nawet mnie to nie zdziwiło. Moje mięśnie były tak spięte ze stresu, że bolało mnie wszystko. Jedna kość w tę czy w tę nie robiła już różnicy.

Odnutowałam w głowie, że najwyższa pora umówić się do fizjoterapeuty, i złapałam za telefon, chcąc sprawdzić godzinę. Gdy tylko ekran się podświetlił, wyprostowałam się jak struna, miska z popcornem zsunęła się z moich kolan, a jej zawartość rozsypała się po podłodze.

Matthew.

To nie tak, że do tej pory do mnie nie pisał. Pisał. Dzwonił. Szukał kontaktu, choćby przez Roberta. Ale za każdym razem głupie serce i nie-słuchające rozumu ciało reagowały tak samo.

Najpierw stres. Obezwładniał mnie na kilka sekund, po których przypominałam sobie o oddychaniu, a wtedy on się ulatniał, zostawiając niepokój.

I nawet nie wiedziałam, czego się obawiam. Chyba tak po prostu, żeby dowalić sobie jeszcze bardziej, włączałam tryb lęku o nie wiadomo co.

Później, gdy szare komórki przypominały sobie, że wypadałoby trochę popracować, otwierałam wiadomość. I wtedy dopiero się działo. Tęsknota, rozpaczliwa potrzeba przyniesienia mu spokoju, czułość.

Miłość.

On nie przeproszał. Na samym początku napisał, że nie ma takich słów, które mogłyby to wszystko wymazać, więc po prostu zacznij działać. Pisał więc, że mnie kocha. Że naprawił szufladę w moim biurku, która od kilku miesięcy się nie domykała. Że śpi na mojej poduszce, że z przyzwyczajenia zrobił śniadanie dla dwóch osób, więc kolejnego dnia nie musiał robić go wcale.

A wtedy ja wyłam. Bo nie wiedziałam, czy mam więcej szczęścia – w końcu spotkałam tak cudownego mężczyznę – czy jednak pecha – bo spotkałam tak poturbowaną przez życie osobę.

Drżącym palcem kliknęłam w powiadomienie i moim oczom ukazała się skrzynka mailowa. Nie była zapchana, bo Robert na bieżąco ją obsługiwał. Brian, mój szef, wywaliłby mnie za coś takiego dyscyplinarnie, ale w tym momencie nie dbałam o to. Thompson był doskonałym prawnikiem. Wiedział, co odpowiadać moim klientom.

Przesunęłam wzrokiem po wiadomości i zakryłam usta dłonią. To nie był mail do mnie. To przesłana dalej wiadomość z gabinetu psychologicznego – potwierdzająca zapis na wizytę.

Zrobił to. Znalazł terapeutę i umówił się na spotkanie. Serce biło mi tak mocno, że niemal sprawiało fizyczny ból. W ustach miałam pustynię i ledwo łapałam oddech.

Zrobił to dla mnie. Dla nas.

I beze mnie.

Miałam ochotę sama siebie ukarać za to, że mu w tym nie pomogłam. Jednak później doszłam do wniosku, że tę decyzję musiał podjąć sam.

W wiadomości było tylko jedno zdanie napisane osobiście przez Matta: „Jesteś światłem, które wskazało mi kierunek we wszechobecnym mroku”.



Rozdział 2

Robert Thompson

TRZY DNI WCZEŚNIEJ

Nikt mi nie wmówi, że nie jestem dżentelmenem.

A na pewno nie mogła wmówić mi tego Brooke, która siedziała właśnie na fotelu pasażera i rzucała mi ukradkowe spojrzenia. Spotkaliśmy się już drugi raz i oba były nad wyraz satysfakcjonujące. Zastanawiałem się, czy zabijasty seks może wystarczyć, by stworzyć udaną relację. Mogłaby być nawet na zasadach „przyjaciół z korzyściami”, ale oto właśnie zacząłem dochodzić do momentu w życiu, gdy zatęskniłem za jakąkolwiek formą stabilizacji.

Świat się wali.

Nie sądziłem, że po katastrofie, jaką zakończył się mój jedyny prawdziwy i poważny związek, będę miał na tyle odwagi, by kiedykolwiek związać się z kimś na stałe. A przynajmniej na „stalsze” niż do tej pory. I gównu mnie obchodzi, że takie słowo nie istnieje.

Oto ja: Robert Thompson, dorastający kawaler i słowotwórca.

Najwyraźniej nie tylko mnie zdarzało się wracać pamięcią do tamtych chwil, bo właśnie piękna twarz kobiety, która jako jedyna była na tyle szalona, by obdarzyć mnie prawdziwym uczuciem, pojawiła się na ekranie telefonu tkwiącego w uchwycie samochodowym.

Rzuciłem przelotne spojrzenie na moją towarzyszkę, która w mgnieniu oka straciła na atrakcyjności, wziąłem telefon do ręki – tak, tak, wiem, niedozwolone, bla, bla, bla – i odebrałem połączenie.

– Liv? Wszystko w porządku? Słyszałem o wypadku matki Sullivan. Potrzebujecie czegoś?

Właśnie dlatego nie zaproponowałem Brooke kolejnej rundy, tylko odwoziłem ją do domu. Dosłownie pół godziny wcześniej zadzwonił do mnie Brad, który z sobie tylko znanych źródeł dowiedział się, że Camile spadła ze schodów. Przeprosiłem więc ładnie kochankę, uznając, że teraz powinienem być przy najlepszym kumplu, niezależnie od tego, jakie relacje łączyły go z matką.

Miałem też obawy o to, co rzeczywiście przytrafiło się tej biednej kobiecie.

– Pomocy – wychrypiała Olivia pełnym paniki głosem. Momentalnie zaschło mi w gardle. Ostatni raz słyszałem ją tak wystraszoną, gdy walczyła z mrokiem, z którego wyrwał ją Simon. – Matthew... on... on wpadł w szal.

Kurwa mać.

Właśnie dostałem odpowiedź na wszystkie moje wątpliwości związane z kulisami wypadku Camile Sullivan.

Jebany Trevor.

Jebany Matthew.

Uprzedzałem złamasa, że tak to się skończy. Że prędzej czy później stanie się coś, przez co nie dźwignie ciężaru własnej agresji i będzie szukał ujścia. Wiedziałem, że jeśli choć jeden kasztanowy włos spadnie z tej pięknej głowy, urwę chujowi jaja i wepchnę mu do gardła.

Właściwie zrobię to z nimi dwoma. W tej sytuacji nawet Simon Hamilton by mnie pochwalił.

– Będę za dziesięć minut. Nie rozłączaj się – poleciłem, skrzęcając gwałtownie w prawo.

Zaparkowałem na zakazie, uparczywie udając, że nie widzę znaku, i zwróciłem się w stronę Brooke.

No i chuj bombki strzelił. Jednak nie jestem dżentelmenem.

– Przepraszam, muszę jak najszybciej znaleźć się na Piątej Alei. Zamów sobie taksówkę, zwrócę ci koszt. – Starałem się opanować, ale stres zaczynał

ściskać moje gardło. Zbyt dobrze wiedziałem, do czego Sullivan jest zdolny, gdy wpada w szal.

Obrzuciła mnie zniesmaczonym spojrzeniem.

– Ty tak poważnie? – zapytała, unosząc brwi. Modliłem się w duchu, bym zaraz sam nie wpadł w szal.

– Tak, to naprawdę awaryjna sytuacja. Odezwę się, okej?

Oboje wiedzieliśmy, że to gówno prawda. Chuj bombki strzelił, jeśli chodzi również o moją próbę poszukania stabilizacji w życiu.

Patrzyłem, jak zdziwienie na twarzy kobiety powoli przeradza się w irytację, a irytacja w gniew, ale jedyne, na co miałem ochotę, to wypchnąć ją z samochodu, by zdążyć dotrzeć do Olivii, zanim będzie za późno.

Ja pierdolę, czemu zawsze trafia na nią? Po tym, co przeszła, musi teraz stawiać czoła jeszcze temu?

Zachciało mi się rzygać na samą myśl, co zapewne działo się w tym momencie w jej głowie. Jak przerażona była. Zdezorientowana. Złamana i skrzywdzona.

KURWA!

Brooke rzuciła mi pogardliwe spojrzenie i bez słowa opuściła samochód, a ja odetchnąłem z ulgą. Umieściłem ponownie telefon w uchwycie, a gdy tylko drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, zawołałem:

– Liv? Jesteś tam?

Przez chwilę wsłuchiwałem się tylko w jej drżący oddech, podgłośliłem dźwięk w samochodzie do maksimum, by spróbować wyłapać cokolwiek z tła. *Czy usłyszę wrzaski Matta? Dźwięki tłuczonego szkła, łamanych krzesel, rzucania przedmiotami?* Zbyt dobrze wiedziałem, co mogło się tam właśnie dziać.

– Tak – powiedziała po chwili, a jej głos zabrzmiał już pewniej.

– Gdzie dokładnie jesteś?

– Zamknęłam się w łazience.

Dzięk ci, Boże. Jak ona wyjdzie z tego bez szwanku, to może nawet w ciebie uwierzę.

– Możesz podsunąć coś ciężkiego pod drzwi? Szafkę, półkę, cokolwiek? – dopytywałem, próbując przy okazji nie zabić nikogo na drodze, bo w tej konkretnej chwili prowadzenie auta było ostatnim, na czym skupiałem uwagę.

– Podsunęłam puf. Nie ruszę toaletki, a szafka jest przytwierdzona do ściany – rzuciła, a głos jej zdrzął. – Robert?

– Tak, kochanie?

– Czy on mnie nienawidzi?

Miałem ogromną ochotę przymknąć powieki z żalu i wkurwienia, ale zacisnąłem tylko mocniej ręce na kierownicy i, siłąc się na spokój, odparłem:

– Nie, Olivio. – Westchnąłem. – On nienawidzi samego siebie.

Tłumiony szloch wyrwał się z jej gardła. Nacisnąłem pedał gazu mocniej, przejeżdżając na pomarańczowym. *Jak mnie po tej przejażdżce nie znajdą i nie wsadzą na dołek, to zważę w nowojorską policję.*

– To Trevor – wypaliła, ścisząc głos do szeptu. Ledwo ją słyszałem, przebijając się przez miasto ze zdecydowanie zbyt dużą prędkością. – To on zepchnął Camile, a Mattowi odbiło.

Jakoś nie byłem tym zaskoczony.

– Obiecuję, że cię stamtąd wyciągnę. Będę dosłownie za dwie minuty. – Wrzuciłem kierunkowskaz i zaparkowałem pod budynkiem, w którym mieszkali. Dokładnie pod wielkim znakiem informującym, że w tym miejscu postój jest dozwolony tylko przez piętnaście minut.

Zajebicie, dzisiaj więcej nie potrzebuję.

Sullivan musi ogarnąć się sam. Ja byłem potrzebny komuś innemu. Zresztą, po dojeździe do siebie urwałby mi jaja, gdybym nie postawił tego dnia Olivii na pierwszym miejscu.

– Za piętnaście minut wyjdę stąd w towarzystwie zapłakanej kobiety. Proszę się upewnić, że nikt nie zrobi jej zdjęcia – warknąłem do portiera, rzucając mu plik banknotów studolarowych. Gość był w takim szoku, że nawet mnie nie wylegitymował, gdy pobiegłem do windy, odpalając w telefonie zdjęcie karty z kodem QR odblokowującym dźwig.

Trudno powiedzieć, czy byłem bardziej wkurwiony, przestraszony, czy pełen litości dla mojego przyjaciela, znowu pokonanego przez swoją największą słabość – jego jebanego ojca. Cokolwiek by to nie było, jedno wiedziałem na pewno: *to musi się skończyć*. Najwyższa pora, by Matt zrobił coś z tymi cholernymi wybuchami agresji, bo Olivia była ostatnią osobą, która powinna coś takiego znosić.

Znowu.

Gdy rozsunęły się drzwi windy, przywitała mnie złowroga cisza. Słyszałem własny oddech i krew szumiącą w uszach, a myśli krzyczały wniebogłosy. Bo cisza nie zwiastowała niczego dobrego. Było już po wszystkim. *Demon się zmęczył*.

Zrobiłem kilka niepewnych kroków, które odbiły się głuchym echem od ścian. Dopiero wtedy z salonu dotarły do mnie jakieś szmery. Nie bałem się Matta. Bałem się o Matta. Od lat trenowałem krav magę, więc nawet jeśli chciałby mi coś zrobić, rozłożyłbym go na łopatki w mgnieniu oka. Ale nie miałem pewności, czy nie zrobił krzywdy sobie. Zbyt wiele już widziałem.

Wszedłem do środka, rozglądając się po pomieszczeniu. W ogóle nie zaskoczył mnie panujący tam bałagan. Potłuczone butelki, rozlane płyny, książki w strzępach, przewrócone krzesła. Nic, czego nie widziałbym do tej pory. Ale gdzie, do kurwy, był autor tej jakże wymownej aranżacji?

– Sullivan? – zawołałem, nadstawiając ucha, jakbym się spodziewał, że kumpłowi zachciało się zabawić w chowanego.

– Rob? – usłyszałem niewyraźny szept dobiegający gdzieś zza kanapy.

Poszedłem w tamtą stronę, a moim oczom ukazał się wielki Matthew Sullivan. Nowojorski Król Rozrywki i najbardziej pożądany kawaler w tym stanie – siedzący na podłodze z podwiniętymi rękawami pomiętej koszuli, ubrudzony czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak krew. Wszystkie moje mięśnie napięły się na ten widok.

– Zabierz ją stąd. Ona musi być bezpieczna. – Głos miał pewny, ale ilość żalu, jaką w nim wyczułem, łamała nawet moje serce.

– Ogarnij się najpierw. Niech nie widzi cię w tym stanie – warknąłem, łapiąc go za łokieć i lustrując uważnie wzrokiem. To, co wziąłem za krew, okazało się płamą z czerwonego wina, szczątki butelki walały się za nim.

Jeżeli Olivia wybaczy mi kiedykolwiek ten atak furii, na pewno nie wybaczy plamy na nowej sofie.

– To nie ma już znaczenia, stary – stwierdził, gdy podnosił się z podłogi. – I tak na mnie nie spojrzysz.

– Jesteś debilem – rzuciłem, strzepując mu z koszuli odłamek szkła, który na szczęście nie przeciął skóry. – Ona zejdzie do piekła, by samego diabła opierdolić za to, że jeden pomiot wymknął mu się spod kontroli. I mam na myśli Trevora, nie ciebie.

Pięści Matta momentalnie się zacisnęły, a ja zrozumiałem swój błąd. Nie powinienem był w ogóle wspominać imienia tego śmiecia.

– Uspokój się, do kurwy – poleciłem, widząc, że kolejna fala gniewu zaczyna wzbierać. – Zaprowadzę ją do auta i wrócę tu.

Odwróciłem się na pięcie i skierowałem do łazienki. Zapukałem delikatnie.

– Liv, to ja! Robert! – zawołałem, po czym usłyszałem szuranie, zgrzyt zamka, a chwilę później przez wąską szparę zobaczyłem jej piękną twarz.

Była lekko opuchnięta, ale musiała zmyć rozsmazany makijaż, bo mogłem wyraźnie dostrzec lekkie niedoskonałości jej cery. Miała zaczerwienione oczy, ale spojrzenie bystre i zdeterminowane. Oczywiście, że tak. Olivia Hamilton stanowiła definicję siły.

Drzwi otworzyły się szerzej, a ona wychyliła lekko głowę, jakby chciała się upewnić, że za nimi nie czyha rozwścieczona bestia. Ta miała chwilowo przerwę w robieniu rozpierdolu, ale byłem pewien, że to jeszcze nie koniec.

– Chodź, zaprowadzę cię do samochodu i wrócę po twoje rzeczy. Zostaniesz u mnie przez kilka dni – powiedziałem, wyciągając do niej dłoń, którą obrzuciła niepewnym spojrzeniem.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Tego, że rozbita rzuci mi się w ramiona i zacznie szlochać w koszulę? To nie ten typ. Ona wychodziła z takich sytuacji z uniesioną głową, by potem powoli rozpadać się w samotności.

Teraz jednak samotność była luksusem, którego nie mogłem jej zapewnić, bo nie istniała możliwość, bym zostawił ją z tym samą.

Złapała niepewnie moją dłoń, chociaż dałbym sobie jaja uciąć, że zrobiła to z czystej grzeczności. Gdyby sytuacja była choć odrobinę inna, pewnie parsknąłbym w tym momencie śmiechem.

Wyprowadziłem ją z sypialni, czując, że jej chwyt z każdym krokiem staje się mocniejszy. Kiedy w salonie odnalazła wzrokiem Matthew, już niemal miażdżyła moją rękę. Miałem wrażenie, że każda komórka jej ciała wyrывa się w jego stronę. Chciała do niego podbiec, rzucić mu się w ramiona, szukać tam ukojenia i bezpieczeństwa, a tylko zdrowy rozsądek zatrzymywał ją w miejscu. I wtedy rozpadła się na dobre. Załamała. Gdy stała na środku własnego salonu, w chaosie, który rozpętał jej narzeczony, i nie mogła ulec najbardziej rozpaczliwemu pragnieniu serca.

– Będę o nas walczył, skarbie. Ale teraz twoje bezpieczeństwo jest ważniejsze. Cokolwiek zdecydujesz, zawsze będziesz miłością mojego życia – powiedział pewnie Matt, choć brzmiał tak, jakby coś tłumilo odczuwane przez niego emocje.

Po policzkach Olivii popłynęły łzy.

To nie była groźba. To była obietnica. Złożył ją nie tylko jej, ale też – a może przede wszystkim – samemu sobie.

Pociągnąłem Liv delikatnie, dając do zrozumienia, że powinniśmy już wyjść, ale jej ciało stawiało opór. Stała tam i patrzyła na Matta, nie będąc w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Kiedy kącik jej ust zauważalnie wykrzywił się w grymasie bólu, Sullivan zrobił kilka kroków w naszą stronę, ale zastąpiłem mu drogę.

Nie dotknij jej. Nie teraz.

Widziałem wyraźnie, jak zmienił się wyraz jego twarzy, gdy złość znowu zaczęła brać we władanie ciało i umysł. Jeżeli chciałem oszczędzić Olivii kolejnych atrakcji, musiałem jak najszybciej wyprowadzić ją z tego mieszkania.

Wciąż stojąc przodem do Matta, sięgnąłem za siebie, kładąc dłoń na jej talii. Mięsień na twarzy Sullivana zadrżał złowrogo, nozdrza się rozszerzyły, a szczęki zacisnęły. Popchnąłem dziewczynę, modląc się w duchu,

by w końcu poszła po rozum do głowy i się ruszyła. Na szczęście wreszcie mi uległa i szybkim krokiem skierowała się do wyjścia, a ja tuż za nią, ciągle oglądając się za siebie, jakbym się bał, że drapieźnik, w którego właśnie zamieniał się mój najlepszy kumpel, skoczy zaraz w pogoń.

On jednak stał odwrócony plecami do nas, ciągnąc się mocno za włosy. W duchu dziękowałem wszystkim świętym, w których nie wierzyłem, za to, że Olivia idzie twardo wpatrzona w jakiś punkt przed sobą. Gdyby obejrzała się na narzeczonego, z pewnością nie odciągnąłbym jej od niego.

Usadowiłem ją w samochodzie, rozglądając się wcześniej na wszystkie strony, by mieć pewność, że nigdzie nie czają się paparazzi. To pięprzony apartamentowiec przy Piątej Alei. Tu nigdy nie można było mieć pewności. Ale tym razem wsunięty w dłoń portiera plik gotówki pomógł w oczyszczeniu przestrzeni ze zbędnej widowni.

Kiedy tylko się upewniłem, że Olivia jakoś się trzyma i mogę zostawić ją na parę minut samą, wróciłem do mieszkania, by chociaż trochę zaplanować nad gniewem pokonującym jej narzeczonego.

Ja pierdolę. Co za jebany absurd.

Sullivan stał oparty o regał z książkami, ale gdy tylko zarejestrował, że pojawiłem się w zasięgu wzroku – a raczej pięści – rzucił się na mnie jak rozwścieczony niedźwiedź. Kilkoma wyćwiczonymi ruchami zablokowałem wyprowadzony przez niego cios, złapałem go za chabety i docisnąłem do regału. To był ten moment, w którym lata treningów przydały się do czegoś więcej niż tylko do utrzymywania ciała w dobrej formie.

Matt dyszał ciężko, patrząc na mnie z furią wymalowaną w oczach. Wiedziałem, że unieruchomienie jego ciała tylko ją potęgowało, ale nie mogłem pozwolić na to, by przez brak kontroli poprzestawiał mi układ zębów.

– Opanuj się, kurwa! – krzyknąłem, całą siłą hamując jego wyrwywające się do bitki mięśnie.

– Tylko na to czekałeś, co? – syknął przez zaciśnięte zęby. – Czekąłeś na okazję, w której będziesz mógł popędzić jej na ratunek i mi ją odebrać.

– Jesteś pierdolnięty – warknąłem. – I ślepy, jeżeli myślisz, że ona w ogóle chciałaby kogokolwiek poza tobą.

– Ona... jest... moim... jebanym... wszystkim – cedził, próbując mnie odepchnąć.

Musiałem użyć całej swojej siły, napędzanej adrenaliną, by go powstrzymać. Paradoksalnie największą przewagę dawał mi fakt, że w furii Matt nie myślał logicznie i wszystkie jego ruchy były proste do przewidzenia.

– Więc się tak, kurwa, zachowuj! – uniosłem głos. – Właśnie uciekła przerażona z własnego mieszkania, zjebie!

– KURWA! – wrzasnął, ale od razu wyczułem, że przestał stawiać opór. Opadł bezwładnie na stojący za nim regał, a ja zrobiłem dwa kroki w tył, wciąż czujnie go obserwując. – Ja pierdolę. – Potarł twarz obiema dłońmi, po czym odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. – Zaraz poszukam terapeuty – wypalił w końcu, a ja zamrugałem, zaskoczony. – To się nigdy nie powtórzy. Ona nie będzie się mnie więcej bała.

– Wszystko ładnie, pięknie, stary, ale to nie do końca tak, że możesz sobie o tym ot tak postanowić – zauważyłem ostrożnie. – Nie kontrolujesz tego.

– Powiedziałem, że to ogarnę. Nigdy więcej nie zobaczy mnie w takim stanie. Będę walczył o kobietę, która stała się moim domem, i jeśli zajdzie potrzeba, zabiję pierdolonego Trevora, byle ona odzyskała spokój.

Nie do końca byłem przekonany, że to tu leży największy problem, ale doszedłem do wniosku, że to nie jest odpowiednia chwila na kopanie leżącego. W tamtym momencie Matthew Sullivan był wrakiem człowieka. Miał jednak wyraźny cel: stanie się godnym kobiety, która jest jego wszystkim.



Rozdział 3

Matthew Sullivan

Byłem cholernie zmęczony. Zawsze po intensywnych wybuchach agresji miałem ochotę przespać cały dzień. Albo dwa. A najchętniej tydzień, próbując wymazać epizod z pamięci. Czasami sięgałem po alkohol, ale on tylko potęgował uczucie kompletnej nienawiści do samego siebie.

Teraz jednak nie istniało nic, co mogło to jeszcze bardziej uwidocznic. Przez brak kontroli moja kobieta musiała uciekać z własnego domu, nie czując się bezpiecznie. Ale postanowiłem: *Nie będę się nad sobą użalał. Nie będę topił smutków i chował się za ojcem, zrzucając całą winę na niego. Nie zagrzebię się we własnym bólu przez kolejne dni. Sprawię, by ona na nowo odnalazła swoje szczęście przy mnie.*

Chociaż w tamtej chwili brzmiało to jak coś niewykonalnego, moja determinacja jeszcze nigdy nie była większa. Nigdy niczego nie pragnąłem tak cholernie mocno. Dlatego, gdy tylko Robert opuścił penthouse z torbą wypełnioną rzeczami mojej dziewczyny, a furia minęła, zamiast rzucić się na łóżko i iść spać, wziąłem się za sprzątanie.

Pozbierałem szkło, poustawiałem z powrotem meble, wytarłem podłogi, poukładałem książki. Nie zważając na porę, zadzwoniłem do Megan z pytaniem, jak wywabić plamę po winie z kanapy, a ona czterdzieści minut później już stała w progu mieszkania. Obserwowała wewnątrz tak uważnie, jakby miała w oczach skaner wykrywający nawet roztocza i właśnie obmyślała w głowie plan walki z nimi. Była prawie druga w nocy.

Bez słowa ominęła mnie – będącego w tak ogromnym szoku, że zabrakło mi języka w gębie – i z jakimś magicznym płynem pod pachą ruszyła w stronę kanapy. Cały czas milczała, metodycznie próbując wywabić płamę, a ja nie mogłem przestać jej obserwować.

– Podaj mi tamtą ścierkę – rzuciła w końcu, wskazując na ustawione przez nią wcześniej na podłodze wiaderko z różnymi przyborami.

– Meg? – wydukałem, mając nadzieję, że cokolwiek mi wyjaśni.

Wyprostowała się i zwróciła w moją stronę.

– Nie wiem, co tu się stało ani gdzie teraz jest Liv, ale skoro Ethan dalej słodko śpi, zakładam, że jest cała, zdrowa i bezpieczna. Gdzieś daleko. A ty brzmiałeś jak ktoś, kto nie powinien być teraz sam.

Nie wiedziałem, czym zasłużyłem na obecność Megan Ward w moim życiu ani jak dużo empatii, zrozumienia, wrażliwości i inteligencji emocjonalnej sypnęło się komuś, kto mieszał składniki będące elementami jej wspaniałej osobowości. Pojmowałem jednak jedno: *Meg jest uosobieniem dobroci.*

Pierwszą noc bez Olivii przetrwałem tylko dlatego, że wspólnie z żoną jej najlepszego przyjaciela mogłem przez kilka godzin wywabić płamę po czerwonym winie z jasnej kanapy.



Minęły dwa trudne dni, które ciągnęły się w nieskończoność. Samotność doprowadzała mnie do szaleństwa. Każda minuta bez Olivii była torturą. Dzwoniłem do Roberta kilka razy dziennie, by się upewnić, że moja dziewczyna jakoś sobie radzi.

Ale to była Olivia Hamilton. Oczywiście, że sobie radziła. Z uniesioną głową i dumnie wyprostowaną sylwetką. To ja byłem cieniem samego siebie.

– Ona nie chce z tobą gadać, stary – rzucił Robert, gdy tylko odebrał połączenie.

Jakbym sam nie był tego świadomy.

– Dlatego dzwonię do ciebie. Chcę tylko zrozumieć poziom szkód, które wyrządziłem, by móc wdrożyć plan naprawczy.

– Plan naprawczy? – prychnął. – Typie, ty mówisz o swojej kobiecie. Ścisnąłem palcami nasadę nosa.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – burknąłem. – Mleko się rozlało. Niczego w życiu nie będę żałował bardziej niż tego, co się stało, ale teraz zamiast babrać się w tym gównie i pozwolić, by znowu mnie przytłoczyło, chcę działać. Żeby jednak mógł cokolwiek zrobić, muszę zrozumieć, jaki jest punkt wyjścia.

Naprawdę trudno było mi przewidzieć, w jakim stanie może być Liv. Wiele kobiet właśnie przeżywałoby kryzys, szukało już drugiego mieszkania i sposobu ewakuacji ze związku, ale nie moja Olivia. Ona działała inaczej. Często na przekór logice. Domyślałem się, że stoi za tym jej historia, której do tej pory mi nie zdradziła. Coś, czego doświadczyła w przeszłości, powodowało, że jeszcze mnie nie skreśliła.

I sam nie wiedziałem, czy to dobrze.

Czułem w kościach, że jej rodzina i przyjaciele nie wiedzą, co między nami zaszło. Nie byłem tylko pewien dlaczego. Czy nie chciała im tego tłumaczyć, przytłoczona ostatnimi wydarzeniami, czy była tak zdeterminowana, by mnie chronić? Hamilton z pewnością nasłabym na mnie jakiś kartel, gdyby tylko dotarło do niego, co się stało.

– Ta kobieta to cyborg – rzucił w końcu Robert, wzdychając. – W nocy ryczała w poduszkę, ale rano wstała, wzięła prysznic i zrobiła nam śniadanie.

– Olivia? – dopytywałem z niedowierzaniem. – Olivia zrobiła śniadanie?

– Ta. Poczęstowałem nim fikusa, bo było niejadalne – burknął, a ja miałem ochotę zdzielić go w łeb. – Chodzi mi o to, że trzyma się zaskakująco dobrze. Ale wiesz, co to znaczy. – Dałbym sobie rękę uciąć, że właśnie przeczesał włosy palcami.

– Opracowuje plan – stwierdziłem.

– Ewidentnie. Nie wiem tylko, czy celem tego planu jest urwanie ci jaj, czy ogarnięcie cię i doprowadzenie przed jebany ołtarz.

Miałem cichą nadzieję, że chodzi o to drugie.

Rozłączyłem się. Popatrzyłem na ekran telefonu, na którym uśmiechała się do mnie idealna twarz mojej dziewczyny. Zaciśnąłem zęby i – nie mogąc się powstrzymać – napisałem jej wiadomość.

Nie było słów, którymi mógłbym ją przeprosić, więc powtórzyłem tylko to, co obiecałem jej wcześniej – że będę o nas walczył. Później napisałem, że z przyzwyczajenia zrobiłem jej śniadanie, więc będę miał na dwa dni. Dopilnowałem, by wiedziała, że dam jej tyle czasu, ile tylko będzie potrzebowała, a później dodałem, że naprawiłem szufladę w jej biurku, bo ciągle irytowało ją, że się zacina.

Chciałem, by czuła moją obecność, ale nie była nią osaczona, co z całą pewnością nie wypaliło, bo tęskniłem za nią jak pojebany.

Dni bez niej... to nawet nie był koszmar. To najgorsze tortury. Zamknięty we własnej głowie czułem się niewolnikiem umysłu. Podsuwał mi najgorsze scenariusze, których brzydziłem się sam przed sobą. Nie mogłem spać, bo w snach ją krzywdziłem. Nie mogłem żyć na jawie, bo tu już niemal się to stało. Chciałem zniknąć. I tylko mocne postanowienie, że naprawię to wszystko, trzymało mnie przy życiu.

W końcu wziąłem do ręki laptopa i rozsiadłem się wygodnie w fotelu w jej gabinecie. Wszędzie wyczuwałem obecność Olivii. W idealnym porządku, jaki panował na biurku. W pedantycznym sposobie ułożenia długopisów z logo kancelarii, w której pracowała. Nawet w sposobie, w jaki poukładane były na półce opasłe woluminy książek, zrozumiałe tylko dla prawników.

Najdotkliwiej jednak czułem ją w sercu, gdy tak cholernie chciałem zgarnąć jej drobne ciało w ramiona i nigdy już nie wypuścić. Ale wiedziałem, że przede mną długa droga, zanim będę mógł to zrobić. Nigdy nie pogodzę się z tym, co się stało. Nie zapanowałem nad sobą. Znowu. Znowu w jej obecności. Tym razem zmusiłem ją do ucieczki z domu. Z jej własnego mieszkania.

Ale uznałem, że nie pozwolę, by mnie zostawiła.

*Kiedy tylko uporam się z tym, co we mnie gnije, złożę jej u stóp wszystko,
co mam w sobie dobrego.*

Wcześniej już dałem znać Melindzie, że biorę kilka dni wolnego, więc miałem na ten moment tylko jedno zadanie. Odpaliłem przeglądarkę i wpisałem hasło: „Dyskretny terapeuta, Nowy Jork”.

Mdliło mnie na samą myśl. Ale musiałem w końcu się ogarnąć.